

## ZAGINIONA ŻONA

Niektórzy ludzie i niektóre zdarzenia  
znikają jak ślady stóp na mokrym piasku.

Håkan Nesser

– Pani Ewo! Może Pani wejść do męża. Właśnie się obudził. – Pielęgniarka z OIOM-u pojawiła się jak duch, po czym zniknęła w czeluściach korytarzy.

Kobieta podniosła się z krzesła. Bolały ją wszystkie kości. Siedziała chyba ze dwie godziny na tym niewygodnym krześle w hallu. „I tak dziwne, że nikt mnie stąd nie wygnał” – zdziwiła się.

Gdy wczoraj, późnym wieczorem pogotowie na sygnale zabrało jej męża, przestraszyła się nie na żarty.

– Miał zawał. – Słowa lekarza spadły na nią jak całun.

„Nieeeeeeeeeee!” – Chciała krzyknąć, lecz słowa uwięzły jej w gardle. Musiała się przytrzymać stołu, bo niemal zemdląła.

Nie pozwolono jej wczoraj przyjechać. Ale dzisiaj się zebrała, wzięła taksówkę i pojechała do szpitala. „Niech się dzieje, co chce, ale muszę przy nim być. Na dobre i na złe” – tłukło się jej w głowie. „Na złe...”

Leżał nieruchomo w białej pościeli. Wyglądał staro jak na swoje sześćdziesiąt pięć lat. Cała krew odpłynęła mu z twarzy. Oddychał słabo, przerywanie. Tylko oczy jarzyły się wesoło. Jakby chciały ją uspokoić – „Nie martw się, głowa do góry, wszystko będzie dobrze!”.

Ale ona nie była tego taka pewna...

Pogłaskała go po rękę. Uśmiechnął się. Nie zdążył jednak nic powiedzieć. Zasnął. Wyszła na korytarz. Usiadła na tym samym krześle co poprzednio. Wokół panowała cisza. Wspomnienia przyszły same. Wszystko było tak wyraźne, jakby działo się wczoraj. Trudno uwierzyć, że od tamtej pory minęło już prawie czterdzieści lat.

\*\*\*

Toruń cztery godziny temu powitał nowy, 1962 rok. Zaśnieżonymi ulicami przemykali zmarznięci przechodnie. Trzymał mróz i nadal padał śnieg. Co jakiś czas wolno przejeżdżały pojedyncze taksówki, rozwożąc po domach pasażerów zmęczonych całonocną zabawą.

Dzisiejszej nocy taksówkarz Jan Chruścielewski miał zmianę. Wolałby wprawdzie potańczyć i popić w gronie rodziny i znajomych, ale cóż, służba nie družba. Ktoś musi, tłumaczył sobie, tłumiąc ziewanie. Zapalił kolejnego sporta. Zaciągnął się i spojrzął w lusterko. Na tylnym siedzeniu siedziała para. Przystojna młoda blondynka w eleganckim szarym futrze patrzyła smutno w okno. Milczała. Obok niej rozwaliał się grubas o poczerwieniałej od alkoholu twarzy. Toporne rysy nadawały mu prostacki wygląd. Kasłał, zapalając papierosa. Dopiero teraz taksówkarz rozpoznał w nim sekretarza Komitetu Miejskiego, Kazimierza Wawrzyniaka. „Ale mnie, kurka, zaszczyt kopnął!” – pomyślał. „Taką osobę wiozę, no, no. Przewodnią siłę narodu utytłaną jak świnia” – skrzywił się złośliwie.

Widok pijanego partyjniaka na tylnym siedzeniu wywołał lawinę myśli i obrazów. Taksówkarz wyobraził sobie, jak rzesze zecerów – w tym i jego młodszy syn Wojtek – składają w drukarni miejscowego szmatławca noworoczne życzenia od Egzekutywy Komitetu Miejskiego PZPR dla mieszkańców Torunia. „Pewnie były gotowe już dwa tygodnie wcześniej” – pomyślał z drwiną. „I tak piszą zawsze te same dyrdymały. Podziękowania za trud i ofiarność w realizacji zadań produkcyjnych. Podsumowanie pierwszego roku planu pięcioletniego. Dalszy szybki rozwój gospodarki i przedsiębiorstw przemysłowych ku chwale socjalistycznej ojczyzny. I budowę lepszej przyszłości – sratatata...”

Podskakując na kocich łbach, taksówka skierowała się w stronę Bydgoskiego Przedmieścia. Dalsze wizje taksówkarza przerwał podniesiony głos dochodzący z tylnego siedzenia. Chruścielewski nadstawił uszu.

Pijany sekretarz, żywo gestykulując, bez przerwy mówił. Taksówkarz dowiedział się, z kim Wawrzyniak jadł, pił i rozmawiał na balu sylwestrowym i z kim tańczyła i rozmawiała jego żona Emilia. Kto komu i co obiecał, a także – co on sam obiecał oraz komu to obiecał. Kogo słucha towarzysz Napiórkowski, a kogo się boi. I jak męczące jest tańczenie tego modnego twista, gdy człowiek sobie nieco wypije. Coś tam jeszcze wspomniał o zgrabnych nogach i nylonowych pończochach, po czym przeszedł bezpośrednio do omawiania sytuacji rodzinnej swojego partyjnego kumpla.

– Józkowi, znaczy się towarzyszowi Buchale, rozumisz, żona rogi przyprawia! – krzyczał z przejęciem, sapiąc przy tym jak lokomotywa. – A wiesz z kim? Z jakimś chłystkiem pismaczną!

Chruścielewski, ciekawy reakcji kobiety, spojrzął w lusterko. Emilia odwróciła z zainteresowaniem kształtną blond główkę w kierunku męża.

– Teresa? Niemożliwe... – Żona sekretarza, złapała się teatralnie za głowę, ukazując w całej pełni kunsztowną, jakby nadmuchaną fryzurę, utrwaloną zagranicznym lakierem do włosów. Taksiarz znalazł się na tym. Krysia, jego małżonka, była fryzjerką i nie takie cuda potrafiła wyczarować.

– Teresa – potwierdził sekretarz, lekko czkając. – Zażądała rozwodu.

– I co?

– Co? Nico! Dupa z niego, ot co. Ona mu mówi: „odchodzę”, a on nic na to! No, to się wzięła spakowała i odjechała w cholere. Taksówką, za jego forszę. – Wawrzyniak jeszcze bardziej poczerwieniał na twarzy, nie kryjąc wzburzenia.

– A teraz posłuchaj... – Przysunął się do żony, chuchając jej prosto w twarz na wpół przetrawionym alkoholem zmieszany z papierosowym dymem. – Ja bym taką babę zabił, rozumiesz? Zabiłbym i już.

Chruścielewski aż odwrócił głowę. W oczach kobiety zobaczył strach. Tymczasem zapity pasażer nadal wymachiwał rękami i perorował podniesionym głosem:

– Tak! Pozbyłbym się jej! I to tak, żeby nigdy mnie nie złapali! Ba, nawet by nie podejrzewali, że to ja. Są na to sposoby. Mnóstwo sposobów!

W taksówce zapadła cisza. Słyszeć było jedynie chrzęst śniegu zmiatanego przez wycieraczki z przedniej szyby.

Dojechali do celu w milczeniu. Auto zatrzymało się przed poniemiecką willą na Słowackiego, którą częściowo zasłaniały dostojne jodły. Wawrzyniak przez chwilę obmacywał kieszenie płaszcza. Wreszcie znalazł portfel. Rzucił banknot w stronę kierowcy, nie oczekując reszty.

Taksówka stała jeszcze przez chwilę na ulicy. Chruścielewski widział, jak Wawrzyniakowa pomaga iść zataczającemu się mężowi, który poślizgnął się na zasypanym śniegiem chodniku. Przytrzymał się niezdarnie metalowego ogrodzenia z kutego żelaza. Zanim taksówkarz odjechał, zobaczył jeszcze, jak kobieta wchodzi przez furtkę i znika w głębi ogrodu, rozplywając się w ciemnościach nocy.

\*\*\*

– No i co tam, Kazek, słyszeć? – Wielki jak góra mężczyzna, wbity w niebieski mundur na powitanie poklepał Wawrzyniaka po plecach. – Prywatnie do mnie czy służbowo?

– Władek! Kłopot mam...

– Znaczy się prywatnie. – Milicjant roześmiał się jowialnie. Po czym krzyknął rozkazującym tonem w stronę uchylonych drzwi sekretariatu: – Kawkę dla towarzysza Wawrzyniaka, pani Marylko! I dla mnie, oczywista, też.

– Siadaj i gadaj towarzyszu sekretarzu. – Komendant MO w Toruniu, Władysław Jagielski, lubił od razu przechodzić do rzeczy. Wskazał ręką krzesło po drugiej stronie biurka. Wawrzyniak klapnął ciężko na siedzenie.

– Emilii nie ma... – zaczął.

– Co ty pierdolisz, Kazek? Jak to: nie ma?

– Zaginęła. W domu jej nie ma.

– Od kiedy? Przecież w niedzielę ją widziałem.

– No bo wtedy jeszcze była.

Sekretarka wniosła dwie świeżo zaparzone kawy. Zgrabnym gestem postawiła je na biurku i podała cukier. Wyszła odprowadzana natarczywym wzrokiem komendanta, zapatrzonego w jej kształtny tyłeczek.

– Niezła, co? – zapytał, po czym się nagle zmytygował, wracając do rozmowy ze starym kumplem. – Gadaj dalej, chłopie!

Wawrzyniak odchrząknął. Bezwiednie obszukiwał kieszenie marynarki. W końcu wyjął pomietą paczkę giewontów i zapalił. Komendant zauważył, że drżą mu ręce. Głos jednak miał opanowany. Głęboki. Męski. Komendant wyjął paczkę sportów, ukrytą w szufladzie biurka, i też zapalił. Głęboko zaciągnął się dymem.

– W niedzielę nieźle popilim... – zaczął Wawrzyniak

– No wiem, też byłem u ciebie w gościach. Nie pamiętasz? Fakt, nieźle se daliśmy w palnik.

– Emilia poszła koło północy na górę. A my dalej balowaliśmy – ciągnął sekretarz.

W komendancie obudził się funkcjonariusz milicji.

– To wtedy widziałeś ją po raz ostatni? – zapytał służbistym tonem.

– No – przytaknął Wawrzyniak. – Bo jak już żeście poszli, to nie chciało mi się iść na górę. Walnąłem się w ubraniu na kanapę i zasnąłem. Spałem do rana.

Komendant zdusił peta w popielniczce i podszedł do okna. Uchylił je na chwilę.

– Jak wstałem, to strasznie bolał mnie łeb. No, to sobie wziąłem tabletkę z krzyżykiem z apteczki, popiłem wodą z kranu, obmyłem się trochę i zadzwoniłem do Staszka, żeby przysłał któregoś z chłopaków. Wiesz, miałem trochę wypite, to nie chciałem wozu prowadzić – usprawiedliwiał się Wawrzyniak.

– Dobra. Czyli pojechałeś do Prezydium, a jak wróciłeś, to jej nie było?

– Jo – przytaknął Wawrzyniak. – Zaraz jak wróciłem, wołałem ją, ale się nie odzywała. Poszedłem na górę. Ale tam też pusto. Nie wiedziałem, co robić. Byłem głodny. Obiadu nie było. Ukroiłem sobie chleba, posmarowałem margaryną i zjadłem. Zagrzałem wody na herbatę. I cały czas nasłuchiwałem. „Gdzie mogła poleżeć?” – myślałem. Jak jesteśmy małżeństwem od siedmiu lat, to taka rzecz pierwszy raz się zdarzyła. Zawsze czekała na mnie z obiadem. Myślałem, że może po zakupy poszła czy jak, albo na ploty. Ale zrobiła się piąta, a ona nie wracała.

Jagielski słuchał, drapiąc się po głowie.

– Po południu chciałem wsiąść w auto i jej poszukać na mieście, ale nie mogłem nijak znaleźć kluczy do garażu. Byłem zły – kontynuował zdenerwowany Wawrzyniak. – Podzwoniłem po znajomych, ale nie gadałem wprost, że jej nie ma. Tak tylko ogólnie wypytywałem. Nigdzie jej nie było i nikt jej nie widział. Ona rzadko sama z domu wychodziła. Tylko na zakupy, do fryzjera i zaraz wracała.

Zapalił kolejnego papierosa.

– Emilia była piękną kobietą. Zbyt przystojną, żeby puszczać ją samą – dodał

– Była? – zapytał komendant.

– No, jest... – zająknął się Wawrzyniak.

– I co dalej?

– Zacząłem chodzić po sąsiadach. Myślałem, że może jest u doktorostwa Koralskich. Mieszkają w willi obok. Bardzo rzadko ze sobą rozmawiałem, ale co tam, sprawdzić trzeba. Poza tym, nawet jakby tam jej nie było, to może chociaż coś widzieli. Ale nic...

– A do rodziny czasem nie pojechała?

– A gdzie tam – zaprzeczył sekretarz. – Ona nie ma już nikogo, poza mną. Matka zginęła od kul jeszcze w czasie wojny, wychował ją ojciec, ale on też już nie żyje. Umarł dwa lata temu. Rodzeństwa nie miała. Jest sama jak palec. Ma gdzieś tam jakichś dalekich kuzynów, koło Kielc chyba, ale nie utrzymywała z nimi żadnych kontaktów. Nawet na pogrzeb jej ojca nie przyjechali. Zresztą to pijak był, nic nie warty, to i przyjeżdżać nie mieli po co.

– I co było dalej? – dopytywał się Jagielski.

Dalej to poszedłem do barku i se nalałem kieliszeczek, no, może dwa. I nie wiem, kiedy zasnąłem.

– Stary! Rozejrzę się trochę, przepytam. Dam znać, jak się czegoś dowiem. Zaczęli się żegnać.

– Liczę na was, towarzyszu Jagielski! – rzucił jeszcze na odchodne Wawrzyniak i odszedł, tupiąc ciężkimi buciorami.

\*\*\*

Komendant dyskretnie i nieoficjalnie poszukiwał żony sekretarza. Bez skutku. Wawrzyniak także nie próżnował. Obdzwonił wszystkie toruńskie szpitale i kostnice. Nie omieszkał też obdzwonić i bydgoskich. Nic. Pogotowie ratunkowe nie udzielało pomocy kobiecie o takim nazwisku i rysopisie. Odetchnął z ulgą, gdy w kostnicach nie odnotowano takiego przypadku. Kamień w wodę. Klucz do garażu nadal się nie odnalazł. Sekretarz, chcąc nie chcąc, wezwał ślusarza. Po mercedesie nie było śladu.

– Przepadł bez wieści. Jak Emilia – podsumował zafrasowany Wawrzyniak.

Nie wiadomo jednak, czy bardziej ubolewał nad stratą małżonki czy drogiego auta. Zadzwoił do komendanta Jagielskiego.

– Stary! – usłyszał. – Nie ma na co czekać. Musisz oficjalnie zgłosić zaginięcie. Nadamy komunikat. Żarty się skończyły, towarzyszu sekretarzu! – zagrział złowrogo komendant.

Wawrzyniakowi przeszedł po plecach dreszcz. Dopiero w tym momencie odczuł powagę sytuacji.

– Aha, i sprawdź jakich rzeczy brakuje w szafie, dobra? Musimy ustalić, w co była ubrana w chwili zaginięcia. – dorzucił Jagielski i odłożył słuchawkę.

\*\*\*

*Do wszystkiego trzeba się dobrze przygotować. Nawet zrobienie obiadu wymaga planu: trzeba wpięrw zarobić pieniądze, potem pójść do sklepu albo na targ i kupić trochę warzyw i mięsa. Potem, jak się już wróci do domu, trzeba to wszystko umyć, pokroić, wrzucić do garnka i zalać wodą. Posolić, popieprzyć i dodać ziół, żeby lepiej smakowało.*

*Na początku lat sześćdziesiątych wszyscy wokół trąbili o realizacji planu pięcioletniego. We wszystkich gazetach, na wiecach i w radio. Mój własny plan był planem jednorocznym, bo cały rok się do niego przygotowywałam. W tajemnicy, tak żeby nikt nie wiedział oprócz mnie. Nawet mąż. Zwłaszcza on...*

*Było mi łatwiej, bo nie miałam bliskiej rodziny. Ani matki, bo zginęła w czasie wojny, ani ojca, bo zmarł niespodzianie przez wódkę. Ot tak, przewrócił*

się, spadł z roweru bez przytomności, zawieźli go do szpitala, ale już się nie obudził.

*Pieniądze zbierałam przez rok. Co mi dał na fryzjera, na kosmetyczkę, na nowe buty, ja składałam, zawinięte w folię, pod szafką w piwnicy. Nie można powiedzieć, hojny był i pieniędzy na mój dobry wygląd nigdy nie żałował. Miałam być piękna i błyszczeć. Ocieplać jego wizerunek – tak mówił. No to ocieplałam. I dalej w tajemnicy zbierałam pieniądze.*

\*\*\*

Na postoju pod teatrem stało kilka taksówek. O tej porze nie było ruchu. „Dopiero po piętnastej powinno się coś rozkręcić” – pomyślał Chruścielewski, ziewając głośno. „Nudy!” Zaszleścił gazetą. Bez większego entuzjazmu przeglądał lokalne wiadomości. Nagle jego wzrok zatrzymał się na wyraźnie odbitym, dużym zdjęciu młodej kobiety. Pod spodem widniał tekst, który przyprawił go o drżenie serca. Przysuwając gazetę bliżej oczu, czytał półgłosem:

#### *Komunikat MO w Toruniu*

*Kryminalny Komenda Miejskiej Milicji Obywatelskiej w Toruniu poszukuje zaginionej Emilii Wawrzyniak, zd. Banaś, c. Władysława i Aurelii, lat 25, zamieszkałej w Toruniu przy ul. Słowackiego 45.*

*Wyżej wymieniona 10 lutego 1962 roku wyszła z miejsca zamieszkania i do chwili obecnej nie powróciła. Nie nawiązała również kontaktu z rodziną ani znajomymi.*

*Rysopis: wzrost 160 cm, szczupła budowa ciała, około 50 kg wagi, oczy piwne, włosy koloru blond, krótkie, modelowane, twarz pociągła, uzębienie pełne, uszy przylegające.*

*W chwili zaginięcia kobieta ubrana była prawdopodobnie w wełnianą spódnicę do kolan i żakiet w kolorze zielonym, czarne kozaki, płaszcz w kolorze marengo i jasną futrzaną czapkę.*

*Każdy, kto posiada jakąkolwiek wiadomość o losie Emilii Wawrzyniak, proszony jest o skontaktowanie się osobiste, pisemne lub telefoniczne, z KM MO w Toruniu, pokój 14, tel. 21005 wew. 19-22, względnie z najbliższą jednostką MO.*

„Powinienem się zgłosić na milicję” – pomyślał, ale za chwilę zganił się w duchu. „Przesadzam. Poza tym, po co pchać się między wódkę a zakąskę?” Nagle poczuł się głodny. „To pewnie na myśl o zakąsce” – zaśmiał się sam do siebie.

Wyjął z torby sznytkę chleba ze smalcem, zawiniętą w szary papier, odwinął ją z namaszczeniem i zaczął jeść.

\*\*\*

Kolejne dni upłynęły na szeroko zakrojonych akcjach poszukiwawczych. Funkcjonariusze wykonali setki telefonów, przepytali potencjalnych świadków zdarzenia –i nic. Żadnych konkretnych informacji. Zdarzały się fałszywe alarmy. Ktoś gdzieś widział podobną kobietę, a to na targowisku, a to w sklepie, to znów w tramwaju. Milicjanci sprawdzali każdy trop, nawet ten najbardziej nieprawdopodobny. Szukali przecież zaginionej żony sekretarza partii! Prowadzący sprawę porucznik Szymczak miał ciężki orzech do zgryzienia. Ludzi mało, roboty dużo. A do tego kilka razy dziennie telefony z Komendy Wojewódzkiej MO, z Komitetu Miejskiego i Wojewódzkiego. Dostał od władz zwierzchnich tak zwane zielone światło. Nie wolno było szczędzić sił i środków. Emilia Wawrzyniak miała się znaleźć i już! Niestety, zaginiona kobieta jakby zapadła się pod ziemię. W ciągu kilkunastu dni nie natrafiono na żaden ślad. Ani jej, ani samochodu.

– Przecież takie auto to nie zapalka – myślał głośno porucznik Szymczak na zwołanej przez siebie odprawie. – Musi gdzieś być. Tylko gdzie?

Przydzielono mu do sprawy trzech dodatkowych pracowników z innego wydziału. Poza tym miał nowego podwładnego. Sierżant Waław Ziętarski pracował w milicji dopiero pół roku. Był jeszcze wprawdzie zielony, ale już miał na swoim koncie kilka sukcesów w drobniejszych sprawach. A od miesiąca służył pod Szymczakiem. Bystry i pracowity. Taką opinię wystawili mu poprzedni przełożeni. „Nie sposób się z tym nie zgodzić” – pomyślał Szymczak, obserwując z uwagą poczynania młodego.

Grupa operacyjna na bieżąco sprawdzała wszelkie ślady. Biuro paszportowe nie odnotowało wyjazdu Emilii Wawrzyniak za granicę. Żadna kontrola drogowa też nie natrafiła na ślad zaginionej. Młody zwrócił uwagę na ogłoszenie w lokalnej prasie z tego dnia, kiedy zaginęła kobieta. Już sam tytuł brzmiał intrygująco, a zarazem złowieszczo:

*Wycieczka w nieznane*



*Koło PTTK w Toruniu organizuje w sobotę, tj. dnia 10 lutego 1962 roku, wycieczkę w nieznane. Zbiórka pod pomnikiem Mikołaja Kopernika o godzinie 9.00. Zabrać ze sobą dowód osobisty, żywność na cały dzień, wygodne buty i 12 złotych na przejazdy. Powrót do Torunia o godzinie 17.00. Wycieczkę poprowadzi pan K. Błażejowski.*

Niestety, ani wywiad środowiskowy, ani przesłuchanie prowadzącego wycieczkę nie wniosły niczego nowego do sprawy. Przewodnik PTTK nie odnotował obecności pani Emilii na tej wycieczce. Ani na żadnej innej.

– Panie władzo – tłumaczył rozbawiony – taka dziana cizia na wycieczce autobusem i piechotą? No coś pan! Żonka sekretarza to tylko samochodem, bo jak tu na szpilkach przedzierać się przez las?

Mąż zaginionej także z miejsca wykluczył jej udział w tego typu imprezach.

– Ona była... jest – poprawił się szybko – domatorką. Lubi się ładnie ubrać, umalować, zatańczyć. Umie też ugotować i wydawać przyjęcia. I tyle.

Ziętarski pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Co ja teraz bez niej zrobię? – lamentował Wawrzyniak. – Idą wybory na I Sekretarza, a ja bez małżonki. No, jak ja się pokażę? Kto mi zorganizuje koktajl party? W takiej chwili zniknęła, w takiej chwili... Niedobrze. Oj, niedobrze.

Młody milicjant z trudem krył oburzenie. „Dziwnie się gość zachowuje” – pomyślał. „Zaginęła mu żona, a on się martwi o swoją karierę”. Nagle oświeciła go myśl: „A może ma z tym coś wspólnego? Tylko co? I jak to udowodnić? Muszę koniecznie przekazać moje domysły porucznikowi. Może on coś wymyśli?”

Przesłuchano także kolegów partyjnych Wawrzyniaka. Począwszy od I Sekretarza Komitetu Miejskiego, a skończywszy na sprzątacze, wszyscy zeznawali tak samo, jak jeden mąż. Małżeństwo Wawrzyniaków było szczęśliwe, pomimo znacznej różnicy wieku (ona miała 25 lat, on 37), ba, rzecz by można – wzorcowe. Żadnych kłótni, skoków w bok (u niej wcale, u niego zgodnie z normą społeczną, jakieś nic nieznaczące wydry na delegacjach). A alkohol? No, normalnie, jak wszyscy. Bo kto to lubi za kołnierz wylewać, no kto?! A wiadomo, że pewne rzeczy trzeba opić, bo bez tego ani rusz. Odpowiedzialne decyzje, trud budowania socjalizmu i wdrażania śmiałych planów wyznaczonych przez partię wymagały całkowitego poświęcenia. Porucznik Szymczak nie lubił słodczy, a zwłaszcza ciastek z kremem. A ten obraz małżeństwa Wawrzyniaków wydał mu się zanadto przesłodzony. Popytał także w sąsiedztwie i wśród dochodzących. Dwa razy w tygodniu przychodziła do willi pani Aniela. Pomagała w sprzątanii, zajmowała się ogrodem i wraz z córką Elżbietą przygotowywała wystawne rauty

i proszone kolacyjki dla partyjnych bonzów. Szymczak nie wzywał obu kobiet na komendę. Wiedział, że więcej powiedzą we własnym domu. I miał rację. Obydwie zgodnie zeznały, chociaż jakiś czas trwało krygowanie się, związane z niechęcią zeznawania przeciwko „Państwu”, że to małżeństwo było „jakieś dziwne”.

– Ona tam nie miała nic do powiedzenia – zeznała pani Aniela. – Wszystko musiało być na jego. Wtrącał się nawet w to, co mamy podać do stołu. Znał się na wszystkim najlepiej. Przy gościach to i może się starał, ale szacunku to on do niej nie miał, o nie – dodała.

Młodsza pomoc domowa, córka pani Anieli, także podzieliła się z milicją swoimi spostrzeżeniami.

– Pani Emilia cicha była jak myszka. Słuchała go we wszystkim. A on zawsze niezadowolony był. Ona piękna i młoda, on stary i gruby. Taka z nich była para. Tyle tylko, że potrafił zarobić na dom i na utrzymanie. Panie władzo! Jakie ona kiecki miała! To w samym Paryżu takich się nie znajdzie. Ale to było na pokaz, tak ja myślę. Dla ludzi. Bo jak wszyscy wychodzili, już po skończonych przyjęciach, to on się do niej słowem nie odzywał.

Szymczak wszystko notował. Wyłaniał się inny obraz stadła Wawrzyniaków, już nie taki lukrowany, sprzedawany na zewnątrz przez partyjnych kolegów.

– Koleżanek to ona, biduła, żadnych nie miała – biadolila pani Aniela. – Nie miała dokąd pójść. Tylko stale czekała na niego i mu dogadzała. A on piął się coraz wyżej i wyżej na tej drabinie, co to nazywają ją karierą. O żonę nie dbał. Sobek zwykły i tyle! Taka piękna żona, a samotna w małżeństwie. Ja już tam swoje wiem... – zakończyła tajemniczo.

Szymczakowi błysnęła pewna myśl. Przede wszystkim wiedział z doświadczenia, że piękne i eleganckie kobiety przyjaciółek nie mają. Kobiety są zazdrosne – o siebie nawzajem, a także o karierę swoich mężów. Rywalizują ze sobą, więc przyjaźń jest niemożliwa. Tolerują się na tyle, na ile zmusza ich do tego sytuacja. „Przyjaciółek nie miewają, ale przyjaciół?” – zastanawiał się porucznik.

– Czy któraś z pań nie podejrzewała pani Emilii o to, że miała kochankę? – zapytał wprost.

Aniela uniosła brwi ze zdziwienia.

– No coś pan, panie władzo! – wykrzyknęła zgorszona. – Ona? No, jak pragnę Boga! Ona jak mniszka żyła. Tylko mąż i dom. Całe życie poświęcała dla

niego. Nigdy nie zdarzyło mi się widzieć u nich obcego chłopca, kiedy była sama. Tylko listonosz przychodził albo kominiarz, ale to normalna sprawa.

– Żadnych gachów nie miała – stwierdziła autorytatywnie córka. – Już ja mam na takie rzeczy oko. Zauważyłabym! – Uśmiechnęła się obleśnie, biorąc się pod boki.

– Jedno, co można powiedzieć na obronę pana sekretarza, to że pieniędzy jej nie żałował. Bogato żyli jak nie wiem co! – W głosie Anieli słychać było podziw i szacunek, a także lekką nutkę zazdrości.

Sąsiadka z willi obok, Janina Koralska, zeznała, że nie orientowała się zbyt dobrze w układach domowych pomiędzy małżonkami.

– Wie pan, panie poruczniku – tłumaczyła – jestem lekarzem, pracuję w szpitalu. Po dyżurach nie mam już ani siły, ani ochoty interesować się sąsiadami. Wiem tylko, że ona nie pracuje i zajmuje się domem, a on jest wysoko w partii. No i że dużo może. Żyją na wysokiej stopie, samochód mają ładny, nowy, zachodni jakiś, ale ja nie znam się na markach. Często przyjmują gości, prowadzą tak zwany dom otwarty.

– Często pani rozmawiała z zaginioną? – zapytał. – Wie pani, chodzi mi o takie zwykłe sąsiedzkie pogaduszki.

– Rozmowna to ona za bardzo nie była. Jeśli już rozmawialiśmy, to na takie ogólne tematy, o pogodzie albo wakacjach w Bułgarii. Nic konkretnego, ani tym bardziej osobistego. Była bardzo piękna i zadbana, włosy prosto od fryzjera, ciuchy z komis. Taka laleczka. Ale nie pusta i głupia, tylko zestrachana, jakby się czegoś bała...

– Myśli pani, że mąż ją bił albo zastraszał? – zapytał bez ogródek Szymczak.

– Nie wiem. Niczego takiego nie widziałam. Żadnych siniaków, zadrapań nie miała, więc chyba nie. A agresja słowna? Trudno powiedzieć, co się kryje za ścianą...

– W takim razie dziękuję.

Zamyślony porucznik przyglądał się wysokim, wiecznie zielonym jodłom w ogrodzie Wawrzyniaków. Przywodziły mu na myśl lasy Kanady. „Jeśli nie wyjechała, to co się z nią stało? Gdzie szukać odpowiedzi?”

Czarne buty Szymczaka brutalnie deptały dziewiczo biały, świeży śnieg. Nadchodził zmierzch.

\*\*\*

Porucznik zdecydował, że sam będzie się kontaktował z mężem zaginionej Emilii Wawrzyniak. Czasem weźmie ze sobą Ziętarskiego. „Niech się chłopak uczy od najlepszych” – żartował w duchu. „Będą z tego chłopaka ludzie!” – cieszył się z nowego nabytku. „Wiadomo, musi się jeszcze dużo nauczyć, ale widać, że ma łeb na karku. Zuch chłopak!”

Przepytywał pozostałych milicjantów przydzielonych do sprawy, jak się spisuje Żółtodziób, bo taką ksywkę mu nadali. Szymczak od początku go polubił. Przypominał mu syna, który też był bystry i inteligentny. Miał tylko jedną wadę: nie chciał iść do milicji.

– No cóż, nie można mieć wszystkiego – podsumował filozoficznie porucznik.

Podczas rewizji u Wawrzyniaków skupili się szczególnie na szafie, w której zaginiona przechowywała swoje ubrania. Szafa miała rozmiary niewielkiej kawalerki. Wszystko było ułożone równiutko na półkach, kolekcja butów stała na baczność jak żołnierze w dwuszeregu. Płaszcz i futra wisiały osobno. Kolorowe sukienki, których ilość przyprawiła porucznika o zawrót głowy, przypominały kwietną łąkę w środku lata. „Szkoda, że Anka tego nie może zobaczyć – pomyślał Szymczak – miałaby używanie”.

Anka była jego żoną od dwudziestu pięciu lat. Głaszcząc po kolei każde z futer, oczyma wyobraźni widział jej wysłużony płaszczyk w jodełkę, który po dziesięciu latach użytkowania krawiec przenicował na drugą stronę.

– Ponosi go jeszcze następne dziesięć lat – obiecywał mistrz igły i nitki. Jedynym nowym akcentem były wymienione guziki, na bardziej modne.

Ale Anka nie narzekała na swój los. Była szczęśliwa. Porucznik zadał sobie w myślach pytanie, przesuając wieszaki i wdychając odurzający zapach drogich perfum: „Czy ta kobieta była szczęśliwa? Tu, w tym bogatym domu, z mężem, który kochał popijawy i własną karierę zamiast niej?” Najlepiej byłoby zapytać ją samą, ale na razie było to niemożliwe. Nikt nie umiał powiedzieć, gdzie w tej chwili znajdowała się właścicielka tych licznych futer i czólenek. A przecież to porucznik, on i jego ludzie, miał znaleźć odpowiedź na to pytanie, a nie je zadawać...

Raz jeszcze rzucił okiem na godną Liz Taylor kolekcję ubrań, butów, pasków i torebek, po czym zamknął szafę. Drzwi wydały głuchy odgłos, a porucznik odniósł niemiłe wrażenie, jakby zamykał wieko trumny.

\*\*\*

Równoległe z poszukiwaniami kobiety trwało dochodzenie w sprawie zaginionego samochodu. Nie było nawet wiadomo, czy oba te zaginięcia są ze sobą powiązane. Intuicja wprawdzie podpowiadała porucznikowi, że tak właśnie jest, ale przecucia nie mogą zastąpić faktów i twardych dowodów.

Rozesłano informację do wszystkich posterunków na terenie kraju o zaginięciu kremowego mercedesa oraz Emilii Wawrzyniak. Sprawa otrzymała wysoki priorytet. W końcu chodziło o rodzinę sekretarza partii i o jego majątek. Spenetrowano podejrzane warsztaty samochodowe, przeszukano parkingi policyjne, szukano dosłownie wszędzie. Jak kamień w wodę. Informacji było kilkanaście. Milicjanci co rusz łapali nowy trop i sprawdzali wszystkie przypadki. Nie doprowadziło to jednak to żadnych rezultatów, przynajmniej w tej konkretnej sprawie. Przy okazji bowiem aresztowano szajkę handlarzy samochodami i znaleziono dwa skradzione rowery. Jednak sprawy zaginięcia żony sekretarza partii z Torunia i jego mercedesa nadal nie udało się wyjaśnić.

– Szefie! – zagadał któregoś ranka podekscytowany Żółtodziób. – To znaczy obywatelu poruczniku – poprawił się i zasalutował.

– Do pustej głowy się nie salutuje – zaśmiał się przyjacielsko Szymczak.

Ziętarski odetchnął z ulgą. „W dechę mam szefa – pomyślał – lubi mnie”.

– Co chciałeś powiedzieć? – zapytał porucznik. – No mów, co ci przyszło do tego twojego kędzierzawego łba.

– Tak sobie myślałem o tej zaginionej i myślałem. I tak sobie wymyśliłem, może i głupio, ale spać mi to nie daje. No bo, obywatelu poruczniku, oni mieli kupę forsy...

– No i?

– No i myślałem, czy nie warto by było sprawdzić, czy on ubezpieczył tę swoją żonę na życie. Znaczy się, czy polisy nie wykupił na dużą sumę w razie śmierci. Mógłby się dodatkowo obłowić.

– Hmm – zamyślił się porucznik. – Że też nikt na to wcześniej nie wpadł. Będą z ciebie ludzie, młody!

Ziętarski urósł we własnych oczach o kilka centymetrów. Któż nie lubi być doceniany?

Porucznik wykonał kilka telefonów w tej sprawie. Jednak był to niestety kolejny fałszywy trop. Usłyszał tylko, że takie rzeczy zdarzają się jedynie w kiepskich amerykańskich filmach.

– Trudno, trzeba szukać dalej – podsumował porucznik. – Raz na wozie, raz w nawozie, młody. I głowa do góry, bo widzę, że ci morale siadło.

Młody milicjant rozchmurzył się, po czym stwierdził w myślach, że wcale nie tak łatwo prowadzić dochodzenie, jak mu się wcześniej wydawało. W książkach czy filmach wszystko jest jasne i logiczne, w życiu zaś bywa różnie. Trzeba było znowu zaczynać od nowa.

\*\*\*

Chyba przysnęła na chwilę. Poczwała nagle, że ktoś delikatnie dotyka jej ramienia. Otworzyła oczy i rozejrzała się wokół. „Jestem w szpitalu” – skojarzyła i rozprostowała kręgosłup. Zabolało. Nad nią stała młoda lekarka. Uśmiechała się smutno i profesjonalnie.

– Jak mąż?! – prawie krzyknęła. – Co z nim?

– Jak już pani wie, przeszedł zawał. Stan jest ciężki, nie ukrywam.

– Wyjdzie z tego? – Chciała wiedzieć. Łzy same cisnęły się jej do oczu. Wyjęła z torebki chusteczkę. Zaciśnięła zęby. „Nie mogę teraz rozplakać się jak beksa” – strofowała się w duchu.

– Robimy wszystko, co w naszej mocy... – usłyszała, ale słowa lekarki wydały się jej fałszywe.

„Nie ma lekarstwa na śmierć” – pomyślała, po czym przestraszyła się własnych myśli. „Dlaczego myślę zaraz o najgorszym? Żebym tylko nie wykrakała. Muszę patrzeć optymistycznie. Jeszcze takimi myślami sprowadzę na niego nieszczęście” – pomyślała zabobonnie.

Lekarka tłumaczyła jej zawile, używając skomplikowanych terminów medycznych, co przydarzyło się jej małżonkowi i jaki jest jego obecny stan. Niewiele z tego zrozumiała. Była wystraszona i spięta. Bała się. Łagodny uśmiech i monotony głos pani kardiolog Orłowskiej, bo takie nazwisko widniało na plakietce, przypiętej do białego fartucha, spowodował, że nieco się uspokoiła.

– Panika jest bardzo złym doradcą – zakończyła lekarka i znów zostawiła ją samą na niewygodnym szpitalnym krześle, na korytarzu.

Kobieta zapatrzyła się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Na ścianę, gdzie wisiał kalendarz na ten rok. Dwutysięczny. Przełomowy. Tak samo znaczący jak sześćdziesiąty drugi. Decydujący dla niej.

Znowu oddała się wspomnieniom.

\*\*\*

Porucznik Jan Szymczak nerwowo zapalił papierosa. Patrzył bezmyślnie przez okno na ruchliwą ulicę. Wypuścił dym nosem, zaciągnął się mocno, zakasłał, po czym powiedział:

– Przydałby się jakiś przełom w tym śledztwie.

Bardziej bogobojni obywatele pomyśleliby, że jego modły zostały wysłuchane przez siły wyższe. Oni we wszystkim dopatrywali się znaków i działania Boga. Lecz porucznik był ateistą. Nie wierzył w Boga. Wierzył za to w zdrowy rozsądek, ciężką pracę i szczyptę szczęścia. Pięć par oczu patrzyło na szefa z nadzieją.

– Obyś powiedział to w dobrą godzinę. – Sierżant Lewicki zacisnął kciuki.

I tak oto, w trzy miesiące po zgłoszeniu zaginięcia obywatelki Emilii Wawrzyniak, żony sekretarza KM PZPR w Toruniu, nastąpił oczekiwany przełom, który rzucił nowe światło na sprawę.

\*\*\*

Dziewiątego maja, w Dzień Zwycięstwa, mężczyzna spacerujący z psem zauważył dziwny przedmiot wystający z wody pomiędzy krzakami. Na wysokości przystani AZS-u auto zaczęło o krzaki i nie mogło płynąć dalej. W tym więc miejscu zakończyło definitywnie swoją podróż. Właściciel wesołego rudego spaniela czym prędzej poinformował o swoim znalezisku posterunek milicji.

– Obywatelu poruczniku! – krzyczał do słuchawki podniecony Ziętarski, który akurat tego dnia miał dyżur na komendzie. – Chyba mamy naszego zaginionego mercedesa! Niech pan przyjeżdża.

Na wiślanym nabrzeżu zaroilo się od funkcjonariuszy milicji. Była ósma rano, święto, więc gapiów na szczęście nie było wielu. Jeden zawiany spał na trawie, a kilku przypadkowych przechodniów spacerowało, głównie z psami. Specjaliści ze sprzętem do wydobycia wraku zjawili się po dwudziestu minutach. Szymczak z Ziętarskim niecierpliwie przestępowali z nogi na nogę. Nie mogli się doczekać wydobycia auta. Ekipa działała bardzo sprawnie. Za niecałą godzinę mieli już samochód do swojej dyspozycji. Zajrzeli z ciekawością do środka. Wewnątrz nie było nikogo...

\*\*\*

– Towarzyszu Wawrzyniak, znowu się spotykamy. – Szymczak patrzył na przesłuchiwanego z góry, znad własnego wysłużonego biurka.

– Macie coś nowego? – zainteresował się Wawrzyniak. – Bo chyba nie wezwaliście mnie tu ot tak sobie.

Przez te kilka miesięcy sekretarz zmizerniał na twarzy. Stracił też trochę pewności siebie. Skojarzył się Szymczykowi ze szczurem złapanym w pułapkę.

– Tak. Jest coś nowego – poinformował porucznik zimnym tonem.

– Znaleźliście? – zapytał Wawrzyniak z nadzieją w głosie.

– Na razie odzyskaliśmy auto, towarzyszu. Niestety, pana żony w nim nie było.

– Auto? Gdzie było? Ktoś je ukradł? Sprzedał? Jest całe? – Wawrzyniak zasypał milicjanta pytaniami.

– Obywatelu! Pańskiego mercedesa wyłowiliśmy z Wisły.

– Nie rozumiem. – Przez twarz Wawrzyniaka przebiegł bolesny skurcz. Widać było, że żal mu samochodu.

– My też nie rozumiemy, towarzyszu sekretarzu – odparował porucznik i zapalił papierosa.

Atmosfera stawała się coraz bardziej gęsta.

– Czy da się go naprawić? Takie drogie, zagraniczne auto! Jak znalazło się w Wiśle?

– Właśnie tego chcemy się dowiedzieć – odpowiedział Szymczak na pozór spokojnym głosem.

Podszedł do okna. W promieniach słońca kąpały się liliowe bzy. Kwitły kasztany. „Wiosna w pełni, a ja zamiast jechać w plener, muszę tu siedzieć z tym bucem, który bardziej interesuje się wyłowionym z wody samochodem niż zaginioną żoną” – zżymał się w myślach milicjant.

– A moja żona? Co z nią? – zainteresował się nagle Wawrzyniak. – Gdzie ona jest?!

– Na razie nie wiemy. Prowadzimy śledztwo. Musimy jeszcze raz przesłuchać towarzysza na okoliczność zaginięcia Emilii Wawrzyniak, pańskiej małżonki.

– Ja nic nowego nie powiem, bo nic nie wiem. – Wawrzyniak niecierpliwie kręcił się na krześle. – Szkoda waszego czasu.

– A o tym to już my zdecydujemy, towarzyszu sekretarzu...

Porucznik uchylił okno i wpuściwszy nieco świeżego, majowego powietrza do dusznego biura, kontynuował przesłuchanie. Niestety, niczego nowego nie przyniosło. Wawrzyniak uparcie trzymał się swojej wersji. Żonę całą i zdrową



widział wieczorem, dnia dziewiątego lutego bieżącego roku. Potem już jej nie było. Na pytanie o zdrowie psychiczne małżonki obruszył się i zagroził, że zadzwoni do Komendy Głównej w Warszawie na skargę. Szymczak musiał użyć całej swojej dyplomacji, by wybić mu ten pomysł z głowy.

– Chodziło mi tylko o to, towarzyszu – tłumaczył cierpliwie wzburzonemu mężowi – czy pańska małżonka nie miała myśli samobójczych. O to mi idzie, o nic więcej.

– Znaczą, że chciała się zabić? – zdziwił się Wawrzyniak. – No coś pan? Po co by miała się zabijać? Miała wszystko, czego dusza zapagnie.

– I nie zauważył pan u niej ostatnio żadnych oznak przygnębienia, smutku? Czy nie zachowywała się inaczej niż zwykle? – dopytywał porucznik.

– Nie, no wszystko było jak zawsze. Powodziło jej się dobrze, grosza nie szczędziłem, żeby dobrze wyglądała. Fryzjer, kosmetyczka, zakupy – co tylko chciała. Złote życie! Samotna też nie była, bo prowadziliśmy dom otwarty, jak to mówią, co nie? Wesoło było, ludzi pełno, alkohol i dobre jedzenie. Czego chcieć więcej? A i my chodziliśmy na bankiety i przyjęcia. Żyć nie umierać!

– Umierać... hmmm – powtórzył porucznik i się zamyślił. – No to co się mogło z nią stać, jak myślicie, towarzyszu Wawrzyniak?

– Nie mam pojęcia. Niech milicja jej szuka. Od tego jest, co nie?

\*\*\*

Porucznik wraz z Żółtodziobem przeglądali listę wypadków z ostatnich miesięcy oraz opisy znalezionych ciał. Ciał, które nie pasowały do żadnej z zaginionych osób. Takie zwłoki nazywano NN. Czasami mijały lata, nim udawało się dowiedzieć, do kogo należały. A zdarzało się często, że ich tożsamość pozostawała zagadką na zawsze.

– Szefie! Zmasakrowane zwłoki na torach! – wykrzyknął w podnieceniu Ziętarski.

– No i co? – zapytał porucznik, unosząc głowę znad papierów.

– A... przepraszam, szefie, to jest obywatelu poruczniku – poprawił się milicjant. – Ten tam rozmazany na torach to facet był...

– Daj mi znać, jak znajdziesz coś konkretnego, dobra? – przykazał porucznik. – Ale żeby chociaż płęć się zgadzała. No i może jeszcze wiek – dodał z lekką drwiną.

– Tak jest, obywatelu poruczniku! – Ziętarski wyprężył się na krześle, po czym zabrał się do studiowania dokumentów.

Sekretarka o brązowych oczach zaparzyła kawę. Mocną, żadną tam lurę. Pracowali więc ze zwiększoną energią.

– Ile ty, młody, tych łyżeczek cukru sypiesz? – zapytał zdziwiony porucznik.

– Trzy, obywatelu poruczniku, a bo co?

– A bo to niezdrowo – odpowiedział Szymczak tonem, jakim sztorcował zwykle swojego syna.

– Wszędzie piszą, że cukier krzepi – bronił się Wacek.

– Cukier krzepi, wódka lepiej!

Roześmiali się obydwaj, po czym wrócili do pracy.

Nic się nie zgadzało. Pobita staruszka, jakiś oberwaniec zaciukany w ogrodach działkowych, młoda kobieta – ale została zgwałcona i była brunetką...

– Obywatelu poruczniku! Mam coś, co mogłoby pasować.

– Dawaj!

– „Wyłowiono z Wisły zwłoki kobiety, lat około trzydziestu. Zachodzi podejrzenie morderstwa. Pięć ran kłutych, nożem. Obrażenia narządów wewnętrznych, ale to cios w serce ostatecznie spowodował zgon”.

– Czekaj, młody! – zakrzyknął Szymczak z nadzieją. – Gdzie wyłowiono denatkę?

– Moment. Niech poszukam, jo? – Ziętarski nerwowo wertował papiery.

– O mam! W Grudziądzu. Informacja sprzed półtora miesiąca.

– Dzwon do Grudziądza. Migiem. Pytaj o majora Smarzyńskiego z kryminalnego.

Strzał wydawał się celny, ale się okazało, że w międzyczasie kobietę udało się zidentyfikować. Zaniedbano jednak procedury i ta informacja nie została dodana do akt.

– I znowu kłapa – załamał się Ziętarski.

– Tak to już jest w tej naszej parszywej robocie – podsumował porucznik. I dorzucił: – Młody, jutro zabieramy się za tych partyjniaków z KM. Może się nam poszczęści i coś nowego od nich wyciągniemy, kto wie? A teraz zmiataj do domu na obiad, chłopie, bo w całej komendzie słyhać, jak ci kiszki marsza grają!

\*\*\*

Powtórnie przesłuchali ludzi z Prezydium. W zasadzie nic nowego.

– Zgodne małżeństwo – sarkastycznie rzucił porucznik w stronę Ziętarskiego. — Dobry chłop, miła żonka, ogólnie cud-miód-malina. Tylko ta miła żonka od trzech miesięcy nie daje znaku życia. Klawo!

– Zgłosił się świadek Buchała – zameldował dyżurny funkcjonariusz.

– W porządku. Wprowadźcie. – rozkazał porucznik.

– To ten, który był w delegacji, kiedy przesłuchiwaliśmy to całe towarzystwo? – zapytał Ziętarski.

– Chyba tak. Może wreszcie dowiemy się czegoś pożytecznego? – Porucznik miał już dość zabawy w ciuciubabkę. Wczoraj dostał kolejny telefon z Komitetu Wojewódzkiego. Towarzysz Bieniecki groził, że jeżeli nie wezmą się za tę sprawę na serio, to zdegraduje go jak nic. W rezultacie Szymczak pogonił chłopaków. Nakrzyczał na nich, jakby byli winni tego, że nie ma w sprawie nowych śladów. Potem było mu głupio, bo milicjanci starali się przecież jak zawsze, a nawet bardziej, bo chodziło o żonę sekretarza. Sprawa polityczna!

– Dawajcie go tu.

Mundurowy wprowadził świadka.

Towarzysz Józef Buchała miał coś ciekawego w zanadrzu. Był konkretny i od razu zaczął od najważniejszego. Od rozmowy z towarzyszem Wawrzyniakiem w sylwestrową noc.

– Witaliśmy Nowy Rok. Na balu byłem z żoną, chociaż właśnie się rozwodzimy. Ale poszła ze mną z obowiązku ten ostatni raz. I był też Wawrzyniak ze swoją małżonką. Trochę tańczyliśmy, dużo piliśmy, ogólnie wesoło było. Wyszliśmy na zewnątrz nieco ochłonać i zapalić papierosa, a on tak do mnie mówi: „Józek! Ona od dawna przyprawia ci rogi. Czemu nic z tym nie zrobisz?”. Nie wiem, obywatelu poruczniku, co on miał w tamtej chwili na myśli, ale chyba nic dobrego. Nawet go zapytałem, co miałbym niby zrobić, a on się tylko zaśmiał i przejechał palcem po grdyce. Nie wziąłem wtedy poważnie jego słów, bo podpity byłem, i on też. Ale potem sobie przypomniałem, że jeszcze gorzej do mnie mówił. „Załatw ją, będziesz miał spokój. Radzę ci jak bratu – mówił. – Daj komuś w łapę, to raz-dwa się uwinie, a z ciebie śmiać się nie będą”.

– Więc uważacie, że – powiem wprost – sugerował, żebyście wy, towarzyszu, zabili swoją żonę za zdradę? – zapytał porucznik.

– Tak. – Buchała kiwnął głową. – Tak właśnie to zrozumiałem. Ale ja bym czegoś takiego nigdy nie zrobił – zaczął się tłumaczyć, wymachując rękami i czerwieniejąc na twarzy. – Chce ode mnie odejść, trudno. W końcu rozwody są dla ludzi, prawda?

Porucznik próbował poukładać myśli.

– Towarzyszu Buchała, a co myślicie o małżeństwie Wawrzyniaków? Szczęśliwe było czy nie?

– Ano, nie wydaje mi się, żeby tam w środku było tak pięknie jak na wierzchu. Bo ja to myślę, że oni tylko tak pod publikę grali, tak na zewnątrz. Ona mu służyła. Nie miała swojego życia. Tylko on i jego sprawy. Ubrana, nie powiem, ale uśmiech to miała taki sztuczny, na zawołanie. Na ustach uśmiech, ale oczy dalej smutne były. Nie miała w tym małżeństwie nic do powiedzenia. Nie to co u nas. Bo moja Terenia i ja to kiedyś...

Porucznik delikatnie skierował rozmowę na właściwy tor. Nie miał czasu ani ochoty wysłuchiwać prywatnych historii z życia Buchałów.

– Ciekawa sprawa, młody, nie uważasz? – zapytał młodego, który właśnie naostrzoną zapalką wydłubywał z zębów resztki klopsa z milicyjnej kantyny.

– Ciekawa... Na moje oko też – potwierdził młody milicjant, spoglądając z zadumą na fotografię zaginionej Emilii Wawrzyniak. „Gdybym ja miał taką żonę, tobym ją na rękach nosił” – pomyślał rozmarzony. „Taka fajna babka! I nie tylko chodzi o wygląd, ale i o to coś, co miała w sobie. Jaką taką dobroć i delikatność. Kobiecość.”

– Chciałbym, żeby się odnalazła, towarzyszu poruczniku.

– Ja także – stwierdził Szymczak i się zamyślił.

Młody postanowił, że po zakończeniu śledztwa wyciągnie zdjęcie kobiety z dowodów w sprawie, a na jego miejsce włoży fotokopię. A fotografię schowa do portfela. I zawsze będzie ją miał przy sobie. W końcu milicji jest to obojętnie, jaką podobiznę poszukiwanej schowają w archiwalnych piwnicach, prawda?

Tak się zamyślił, że nie zauważył nawet, że porucznik Szymczak zamyka drzwi z drugiej strony, mówi „Do widzenia” i idzie do domu. „Żeby się tylko znalazła” – powtarzał w duchu. „Żeby się odnalazła. Żywa.”

\*\*\*

Z zamyślenia wyrwały ją głośnie kroki na korytarzu. Lekarze rzucali krótkie komunikaty pielęgniarkom, które bez zbędnych słów wykonywały polecenia. Zrobił się ruch i hałas. Zdezorientowana podniosła się z krzesła.

– Co się dzieje? – zapytała przechodzącą szybkim krokiem siostrę.

– Nastąpiło pogorszenie. Nagłe zatrzymanie akcji serca – poinformowała sucho pielęgniarka. – Proszę usiąść i nie przeszkadzać. Powiadomimy panią, jak już opanujemy sytuację.

Słyszała pisk urządzeń monitorujących. Przyciszone głosy. Już wcześniej był podłączony do respiratora. Samodzielnie oddychał co najwyżej przez dwie godziny. Przypomniła sobie, jak lekarka mówiła: „Stan chorego jest skrajnie ciężki, ale stabilny”. Teraz nadal był chyba ciężki, a do tego jeszcze niestabilny. Docierały do niej pojedyncze słowa. Nic nie widziała, tylko słyszała i wyobrażała sobie.

– Kontrolować ciepłość ciała i ciśnienie tętnicze, monitorować elektrokardiogram – rozpoznała głos doktor Orłowskiej.

– Tracimy go! Intubacja. Masaż serca.

Serce biło jej jak oszalałe. Ręce miała zimne jak lód. Bała się. Okropnie się bała.

– Defibrylacja. Natychmiast!

Trzęsła się cała, jakby stała nago na śniegu.

– Pobudzić czynność bodźcotwórczą komór. Adrenalina, jeden miligram.

– Sytuacja opanowana. Odzyskujemy go!

Odetchnęła z ulgą. Gdy medycy wyszli z pokoju, rzuciła się w stronę młodej lekarki, szarpiąc ją za ramię.

– Trudno w tej sytuacji powiedzieć coś więcej – rzuciła niepytana pani doktor. – Czekamy. Najważniejsze będą najbliższe godziny.

Najgorsza była bezsilność. I samotność. Obie córki przyjadą dopiero jutro rano. Kręciło jej się w głowie, jak na diabelskim młynie.

– Na pewno jednak należy być przygotowanym na najgorszy scenariusz, choć z drugiej strony nie należy tracić nadziei. – Lekarka nie owijała w bawełnę.

– Póki co, podajemy dożylnie leki na unormowanie akcji serca.

Znowu trzeba czekać. Czekać...

\*\*\*

– Przepraszam, poruczniku, jest do was telefon. Dzwoni jakiś mężczyzna. Taryfiarz. Ma coś do powiedzenia w sprawie Wawrzyniakowej – zameldowała pani Zosia, konfidencjonalnie ścisząc głos.

– Dawaj go tu! – rzucił porucznik w stronę sekretarki.

Taksówkarz przedstawił się. Jan Chruścielewski. Po zabawie sylwestrowej odwoził małżeństwo Wawrzyniaków do domu.

Szymczak uznał, że lepiej będzie, gdy porozmawiają w komendzie. Podziękował taksówkarzowi i poprosił go, żeby przyszedł złożyć zeznania jak

najszybciej. Już za czterdzieści minut Chruścielewski się pojawił i przekazał intrygujące fakty.

– W sylwestra miałem zmianę. Jeździłem całą noc i odwoziłem tych, co Nowy Rok witali na wesoło. Wiozłem też taką jedną parę – zeznał. – Młodą blondynkę w eleganckim futrze i pijanego grubasa o czerwonej gębie. Rozpoznałem sekretarza Komitetu Miejskiego Kazimierza Wawrzyniaka i jego żonę.

– I co dalej? – dopytywał się porucznik.

Drugie biurko zajmował Ziętarski, który z zainteresowaniem przysłuchiwał się zeznaniom taksówkarza. Ten kontynuował:

– Ona siedziała jak trusia, prawie nic nie mówiła. On za to bez przerwy gadał. Całą drogę. Nie chciałem słuchać. Panie! Co mnie mogą obchodzić czyjeś prywatne sprawy? Ale Sekretarz był taki głośny, że musiał słuchać, co mówi, nawet jakbym nie chciał.

Porucznik cierpliwie czekał na dalszy ciąg. Nie popędzał taksówkarza, żeby go nie zniechęcać. Wiadomo, że większość taksówkarzy donosi milicji. Etatowo. I po co to całe krygowanie się? Porucznik zapalił papierosa i słuchał z uwagą. Ziętarski tak mocno przygryzał wargi, aż poleciała mu krew.

– O czym mówili? – Nie wytrzymał porucznik.

– No więc towarzysz Wawrzyniak opowiadał swojej żonie o sytuacji partyjnego kolegi. Jakiegoś Józka. No, że on się rozwodzi, bo żona go zdradziła i odeszła z jakimś pismakiem. Rzucał przy tym groźbami, które uchodzą za karalne. – Chruścielewski popisał się znajomością prawa.

– A jak to dokładnie brzmiało? – Głos Ziętarskiego stał się piskliwy z podniecenia i ciekawości.

– Powiedział: „Ja bym ją zabił. Zabiłbym ją bez mrugnięcia okiem”. I popatrzył na tę swoją, znaczy się na tę Emilię, takim wzrokiem, jakby to o niej mówił, a nie o żonie tego kolegi.

Porucznik i Ziętarski słuchali zapatrzeni w taksówkarza jak w obraz.

– A potem, na koniec, to on jeszcze powiedział – wysapał podekscytowany taksówkarz – że na miejscu tego zdradzanego męża toby się zwyczajnie pozbył żony. I to tak, że nigdy by go nie złapali na tym morderstwie. Nawet by nie podejrzewali, że to on zrobił.

Ziętarski aż gwizdnął przez zęby. Porucznik zgromił go wzrokiem. Tyle razy przypominał Żółtodziobowi, żeby nie okazywał emocji i rozmawiał z przesłuchiwanymi tylko służbowo. Młody jednak zaangażował się w sprawę i trudno mu było utrzymać emocje na wodzy.

Podziękowali taksówkarzowi za te rewelacje, a potem długo w nocy dyskutowali nad dalszym działaniem.

\*\*\*

Od przesłuchania taksówkarza Ziętarski aż cały gotował się w środku. Czuł, że coś jest na rzeczy. Był niemal pewien, że ten cholerny Wawrzyniak coś ukrywa. „Tylko jak to udowodnić?” – kombinował chłopak. „Czy to rzeczywiście on zamordował swoją żonę? Z drugiej strony – skąd pewność, że w ogóle chodzi o morderstwo?” – próbował na trzeźwo ocenić sytuację. Pani Emilia mogła przecież uciec z kochankiem, jak żona towarzysza Buchały. Ziętarski nie chciał jednak, by sprawy przyjęły taki właśnie obrót. Z przerażeniem myślał też o tym, co by było, gdyby pewnego straszego dnia odkryto jej zwłoki. Taka alternatywa była jeszcze koszmarniejsza. Jakiego zatem zakończenia tej historii oczekiwał? Że Wawrzyniakowa, cała i zdrowa, wróci do domu, okaże się, że miała chwilowy zanik pamięci... I będą żyli z Wawrzyniakiem długo i szczęśliwie? Nie, na pewno nie. Nawet przed samym sobą nie chciał się przyznać, jakiej przyszłości zapragnął dla tej pięknej zaginionej blondynki. W tych marzeniach niebagatelną rolę odgrywał on sam – u boku Emilii, zaginionej żony partyjniaka, która przestała być jego żoną, a została skromną panią milicjantową... Tak się zamyślił, że zasnął z głową na biurku. Obudził go dopiero dźwięk telefonu.

– Tak, poruczniku, wszystko w najlepszym porządku – odmeldował się i w tym momencie przyszedł mu do głowy diabelski plan.

Po raz kolejny wezwał Wawrzyniaka na komendę. Porucznik Szymczak miał wrócić dopiero za tydzień. Został oddelegowany do pomocy w sprawie przemytników z Wybrzeża. Teraz gnojka przycisnę!” – obiecał sobie w duchu Ziętarski. „Dam sobie z nim radę, a Szymczak jeszcze mi podziękuje.” Lotem błyskawicy przemknęły mu przez głowę wszystkie dobre rady porucznika:

– Uważaj, z nim jak z jajkiem, młody. Nie dość, że to wielka szycha, to jeszcze ma rozległe znajomości. Nawet w Warszawie. Z nim trzeba działać delikatnie i dyplomatycznie.

„Załatwię go w białych rękawiczkach” – planował. Miał wprawdzie pewne obiekcje, lecz coś mu podpowiadało, że Emilia została zamordowana. A jeśli tak, to mordercą był z pewnością jej mąż. Milicjant nie miał jednak na to żadnych dowodów. To było tylko przeczucie, intuicja, jak bywa w filmach kryminalnych oglądanych w kinie. Ziętarski był jednak pewien, że się nie myli. Mało tego, czuł, że i porucznik myśli tak samo. Wiedział, że szef, to znaczy obywatel porucznik,

też wyczuwa w tym wszystkim poważną sprawę. Śmiertelnie poważną. Więc on, Wacław Ziętarski, funkcjonariusz Milicji Obywatelskiej, musi działać szybko. Weźmie śledztwo w swoje ręce i wykaże się przed porucznikiem inicjatywą. Wykona dobrą milicyjną robotę, a za to – jeśli ten Wawrzyniak się przyzna – dostanie awans. W ten sposób pomści też Emilię Wawrzyniakową, której wina polegała jedynie na tym, że wyszła za mąż za nieodpowiedniego człowieka. Okrutnego człowieka. Mordercę.

No i teraz siedzieli naprzeciwko siebie, przy jednym biurku. Sekretarz Partii, który właśnie został oskarżony o zabójstwo, i młody milicjant działający po stronie prawa. Jak dwaj rewolwerowcy w amerykańskim westernie. Ich bronią były jedynie słowa. Jednak i te potrafią zranić.

– Czyś pan oszalał?! – wrzeszczał Wawrzyniak. – Nikogo nie zabiłem! Gdzie jest pański przełożony?

– Spokojnie. Teraz ja przesłuchuję. – Pogroził sekretarzowi palcem jak chłopcu, który zakradł się do cudzego ogrodu po jabłko.

– Jakie macie na mnie dowody? Czy w aucie były ślady krwi?

– Były odciski palców. Pańskie.

– Bo to mój samochód. Słuchaj, gówniarzu! – Wawrzyniak złapał milicjanta za kłapy munduru. – Już ja się o to postaram, żeby cię stąd wypieprzyli na głuchą prowincję. Ty o pracy milicjanta nie masz bladego pojęcia! Rowy kopać albo do krów cię posłać, do PGR-u.

Ziętarski się obruszył.

– Za obrazę funkcjonariusza MO zamykam pana na czterdzieści osiem godzin – poinformował przesłuchiwanego i zawołał milicjanta stojącego za drzwiami: – Sierzancie Matuszko! Zamknąć go w areszcie, niech tam zmięknie.

– Zapłacisz mi za to! – Odgrażał się sekretarz, wyrrywając się i szarpiąc. – Wszyscy za to zapłacicie, kurwa, wszyscy!

Aresztanta wyprowadzono. Nastąpiła cisza. Młody odetchnął i rozparł się wygodnie na krześle.

– Kolejny dzień służby społeczeństwu – mruknął pod nosem i uśmiechnął się do siebie zadowolony. – Kolejny zwyczajny dzień.

\*\*\*

Wicherek zapowiedział w telewizji załamanie pogody. I rzeczywiście nad miastem zaległy chmury. Przez kilka następnych dni nad grodem Kopernika przewalały się deszcze i burze. Istny potop i koniec świata.



Złe dni nastąpiły także dla toruńskiej komendy MO. Odsiedziawszy swoje czterdzieści osiem godzin, sekretarz Wawrzyniak poruszył niebo i ziemię. W rezultacie młodego przeniesiono karnie na prowincję, gdzieś pod Lublin, a porucznika wysłano na wcześniejszą emeryturę. Nie mieli nawet czasu, żeby się pożegnać. Rozkazy, które nadeszły z Komendy Głównej, zostały wykonane w trybie natychmiastowym. Ziętarski zdążył jeszcze, w ostatniej chwili, niepostrzeżenie schować pewne zdjęcie do kieszeni munduru...

Wawrzyniakowi nigdy nie postawiono zarzutów zamordowania swojej żony. Jej ciała nigdy nie odnaleziono. Śledztwo zamknięto, a po dziesięciu latach Emilia Wawrzyniak została z mocy prawa uznana za zmarłą. Po tym fakcie, już jako wdowiec, Wawrzyniak ożenił się po raz drugi. Z kierowniczką wojskowej kantyny. Jego kariera polityczna nie potoczyła się tak, jak sobie wymarzył. Piętno domniemanego zabójcy prześladowało go do końca życia. Nigdy nie został I Sekretarzem Komitetu Miejskiego. Biorąc pod uwagę posłuszeństwo wobec góry i w nagrodę za stare zasługi, partia upchnęła go w nowo wybudowanym zakładzie produkcyjnym jako dyrektora. Mercedesa dało się wyklepać w warsztacie, ale Wawrzyniak stracił do niego serce. Sprzedał auto z zyskiem jakiemuś badylarzowi z Lubicza, bo źle mu się kojarzyło.

\*\*\*

Zanosilo się na dłuższą rozmowę. Przenieśli go na salę ogólną. Dwójkę. Tyle że drugie łóżko było chwilowo puste. Sąsiad pojechał do domu z zaleceniem dbania o siebie i swoje serce, a nowego pacjenta jeszcze nie przywieźli. Rekonwalescent z każdym dniem czuł się lepiej. Wypatrywał dnia, kiedy wypiszą go do domu.

– Chciałabym ci coś powiedzieć – zaczęła niepewnie któregoś dnia, gdy zdawał się być w lepszej formie. – To będzie coś bardzo ważnego. Nie wiem, jak to zniesiesz...

– Chyba nie umrę od tych kilku słów? – zażartował.

– Mam nadzieję – westchnęła. – Na pewno chcesz się dowiedzieć? Bo to może wszystko zmienić między nami.

– No co ty! – obruszył się. – Nie ma takiej rzeczy na świecie, która by popsuła nasze małżeństwo. A zresztą teraz to już musisz mi powiedzieć, bo nie wytrzymam z ciekawości. – Wiesz, że cię kocham – dodał cichutko, jakby wstydzając się tego nagłego wyznania. – Mów śmiało.

– Ja też cię kocham – powiedziała szybko, jakby bojąc się, że może się rozmyślić. – Zdradzę ci teraz mój największy sekret. Sekret mojego życia.

Przysunęła drewniane krzesło do szpitalnego łóżka, jak się dało najbliżej.  
– Nie jestem tym, kim myślisz, że jestem – zaczęła, patrząc mu w oczy. –  
A raczej nie jestem już tą osobą, którą kiedyś byłam.  
– Nie rozumiem...  
– Nie dziwię się. Muszę zacząć od samego początku.

\*\*\*

*Ciągle musiałam na niego czekać. Czekałam na niego z posiłkami, czekałam, aż przyjdzie ze znajomymi, których będę zabawiać i obsługiwać. Całe moje życie było jednym wielkim czekaniem. Ale teraz – hola! Teraz to on będzie na mnie czekać. Nienawidziłam go i nienawidziłam tego swojego życia. Dusiłam się. Niby miałam wszystko. A tak naprawdę brakowało mi wszystkiego.*

*Byłam jak kura, której ktoś kazał być papugą. Kura to wolny i szczęśliwy ptak. Co chce, to udziobie, może sobie chodzić po podwórku i wygrzewać się w słońcu. A papuga? Co z tego, że taka kolorowa, jak musi siedzieć zamknięta całymi dniami w klatce i powtarzać głupoty, których jej nauczyli!*

*Przez pierwsze lata bałam się panicznie, że ktoś przypadkowo mnie rozpozna. I że ktoś w końcu mnie skojarzy. Ale tak się nie stało. Byłam Ewą Kowalską i tyle!*

*Kiedyś na targu w Lublinie podeszła do mnie babina w liliowej gazówce na głowie.*

*– Pani mi kogoś przypomina... – zagadała, świdrując mnie oczami.*

*Zmartwiałam. Aż zaparło mi dech.*

*– Ja? Do kogo mam być niby podobna? – zapytałam, starając się nie okazać lęku.*

*– Do takiej jednej... – zająknęła się baba – do takiej jednej aktorki. Z Hameryki.*

*Głośno wypuściłam powietrze. Z ulgą.*

*– Aaaa, do aktorki? A jak się nazywa ta aktorka?*

*– Ano, pani, nie pamiętam. Tyż takie długie ciemne włosy miała jak pani. Ładne.*

*Potaknęłam z udawanym zainteresowaniem.*

*– Ale ona, ta aktorka, to już, wi pani, nie żyje... - stwierdziła kobiecina ze smutkiem.*

*„To zupełnie jak ja” – pomyślałam i uśmiechnęłam się krzywo. Pożegnałam się i odwróciłam na pięcie. Odchodząc, powtarzałam cicho pod nosem:*

– Aktorka? Ja aktorka? No, może trochę. – Zaśmiałam się do siebie. Było mi lekko na duszy.

Nie grałam kogoś innego. Stałam się kimś innym. W poprzednim życiu byłam zadbaną szczupłą blondyneczką. Zawsze elegancką i dobrze ubraną. Sama sztuczność. Teraz zaczęłam odżywiać się normalnie i zdrowo, piłam mleko od krowy, a do twarogu dodawałam tłustej śmietany. Przytyłam i włosy mi odrosły w moim naturalnym kolorze. Takie długie, że nawet warkocz można było z nich upleść albo zawiązać je w koński ogon. A jak je rozpuściłam, to wtedy dopiero poczułam się jak kobieta. Przestałam się malować, czasem tylko usta od wielkiego dzwonu. Moje ręce wyglądały teraz jak ręce pracującej kobiety. Przez to grzebanie w ziemi, bo sama uprawiałam ogród. Miałam nieraz połamane paznokcie i tak brudne ręce, że ciężko je było domyc. Czulałam, że chce mi się żyć! I nie chciałam pamiętać tego, co było. Myślałam tylko o tym, co jest i co będzie. Moje życie przenicowało się na drugą stronę jak stary płaszcz. I tak było dobrze.

Potem przybłąkał się pies. Zwykły kundel, śmieszny, czarny i kudłaty. Nie byłam już taka samotna, bo miałam o kogo dbać i kogo kochać.

Ludzie litowali się nade mną, bo myśleli że wdowa. Taką historią ich uraczyłam i tak miałam zapisane w papierach. Wdowa. Bezdzienna. Próbowali mnie swatać, ale ja nie chciałam mieć męża. Zresztą, po co był mi mąż? Zarabiałam na siebie. Dostałam pracę w fabryce, szkołę skończyłam, awansowałam nawet na brygadzystkę. Żyłam spokojnie, zapominając o przeszłości. Moje poprzednie życie było dalekie i obce. Jakby nigdy przedtem się nie wydarzyło albo należało do innej kobiety. Nie do mnie.

Prawdziwa ja żyłam tu i teraz, szczęśliwa, w zapadłej wsi pod Lublinem. Zamieszkałam we własnym domu na drugim końcu Polski. Radowała mnie myśl, że nie ma nikogo na całym świecie, kto wiedziałby, gdzie teraz jestem. Za nic na świecie nikomu nie mogłam zdradzić swojej tożsamości. Musiałam kryć się przed całym światem, by ujść z życiem.

Mężczyzna milczał. Z każdym słowem jednak coraz szerzej otwierał oczy. Trudno mu było pojąć, że Ewa, jego żona Ewa, była kimś innym. Osobą, która miała tajemniczą przeszłość i nigdy jej nie zdradziła. Nawet jemu, własnemu mężowi. Po dłuższej chwili poprosił, żeby opowiadała dalej.

Urodziłam się po raz drugi. W lesie pod Otłoczynem. Niedaleko miejsca, gdzie prawie dwadzieścia lat później wydarzyła się największa katastrofa w

*powojennej historii polskiej kolei. Zginęło ponad sześćdziesiąt osób, a drugie tyle było rannych. Było mi przykro, gdy czytałam o tym w gazecie. To miejsce kiedyś dało mi nowe życie. A teraz zabrało je tylu osobom naraz. Ja miałam szczęście. Wielkie szczęście. Widocznie tak miało być. Bo pewnie rzeczy możemy zaplanować, a inne dzieją się same i nic nie możemy na to poradzić. Taki to już jest ten nasz człowieczy los...*

*Wtedy jednak, tego dnia, kiedy ponownie przyszedłam na świat, nie szumiały jeszcze o tej strasznej katastrofie brzozy porastające pagórki po obu stronach torów.*

*Nasze auto spłynęło Wisłą i zostało odnalezione w Toruniu dopiero w maju. Mojego małżonka próbowano oskarżyć o morderstwo. Nie interesowało mnie to. Fakty te poznałam z gazet. Co mogły mnie obchodzić losy jakiejś zaginionej kobiety i jej męża?*

Podawała mu kubek z wodą. Pił łapczywie, bo z emocji zaschło mu w gardle, choć nic nie mówił, tylko słuchał.

– Odpocznij może – zaproponowała.

– Nie mogę – zaprotestował. – Nie teraz, kiedy się dowiaduję takich rzeczy! Mów dalej, Ewuniu – poprosił drżącym głosem.

*Uciekłam dnia 10 lutego 1962 roku. Wyjechałam nad ranem mercedesem, gdy mąż pożegnał już wszystkich kumpli i poszedł spać po wielkiej popijawie. Miejsce miałam już upatrzone. Byłam tam już wcześniej kilka razy, żeby wszystko w szczegółach rozplanować. Tego dnia dojechałam autem pod Otłoczyn, nad Wisłę. Było zimno, ciemno i padał śnieg, a ja mocowałam się z autem, zepchnęłam je ze skarpy, żeby się potoczyło do wody. A potem przekradłam się jak złodziej, przez las. Byłam w tamtym momencie podobna do tych pierwszych osadników w Ameryce. Tak jak oni w pocie czoła walczyłam o nowy początek. Wiele kobiet pragnęłoby takiego życia, jakie miałam. O pieniądze nie trzeba było się martwić, męża często nie było w domu. I tyle ciuszków, tyle butów, kolekcja torebek, a do fryzjera mogłam latać nawet codziennie. Ale dla mnie to za mało. To nie było życie. I dlatego uciekłam...*

*Pamiętam, jak do rana czekałam na stacji w Otłoczynie na najbliższy pociąg do Lublina. Bałam się, że mnie odnajdą, że ktoś mnie pozna i odwiezie z powrotem do męża. Ale nikt mnie nie zatrzymał. Nikt na mnie nie zwrócił uwagi. I odjechałam, nie odwróciwszy nawet głowy. Poczulałam się wolna. Jakby przecięto jednocześnie wszystkie sznurki łączące mnie z przeszłością. Czułam, że muszę na*

*powrót odebrać swoje życie. Jak paczkę z dworcowej przechowalni bagażu. „Niech nareszcie należy do mnie, bo jak na razie nigdy nie należało do mnie! Ale to się zmieniło. Zmieniło się właśnie dziś!” – myślałam, drżąc samotnie na stacji w Otłoczynie i czekając na poranny pociąg. Świat nagle się zatrzymał, jak w stopklatce. Otworzyło się dla mnie przejście do innego świata. Świata, o którego istnieniu nie miałam dotychczas pojęcia.*

*Wyrobiłam sobie fałszywe dokumenty na długi czas przed tym, zanim odeszłam. Najważniejszym było nie wyróżniać się, więc przyjęłam nazwisko: Ewa Kowalska. Najpospolitsze z pospolitych. W Polsce żyły miliony Ew Kowalskich. „Łatwo się ukryć w takim tłumie” – pomyślałam.*

*Do Warszawy pojechałam po te lewe papiery. To łatwe, kiedy ma się pieniądze. Mieli właśnie wymieniać dowody osobiste i był bałagan z tym związany, więc okoliczności i czas mi sprzyjały. Pan Felek był mistrzem w swoim fachu. Zażartował, że za pieniądze zrobiłby mi nawet dokument potwierdzający królewskie pochodzenie. Ale nie chciałam takiego. Pragnęłam zostać osobą jak najbardziej przeciętną, taką, która może łatwo zgubić się w tłumie. Dokumenty były prawdziwe, niepodrobione. Żyła kiedyś osoba o takim nazwisku. Całą jej rodzinę wymordowali Niemcy, a ona przeżyła wojnę, ale zginęła w czterdziestym szóstym. Zdaje się, że zachorowała na gruźlicę. To po niej miałam ten dokument. Kupiłam sobie nowe życie. Za pieniądze mojego męża. Dowód osobisty schowałam głęboko, razem z oszczędnościami. Jak mąż był pijany, to dawał mi całe garście banknotów. Bawiło go to. Następnego dnia niczego nie pamiętał. Dla mnie tym lepiej. Nazbierałam tyle, że mogło mi zawiązką starczyć na nowe życie. A nie zamierzałam żyć rozrzutnie. Chciałam pracować i zarabiać na swoje utrzymanie.*

*Za te pieniądze kupiłam dom. Gdy przybyłam do małej wsi pod Lublinem i zobaczyłam ten dom, wiedziałam już, że to jest moje miejsce na świecie. Tak jakby zabłąkany wędrowiec odnalazł drogę do domu. Potem tam zamieszkałam, już jako inna osoba. Jeździłam do nowego domu, prowadząc równocześnie swoje stare życie, ale to nie trwało długo. Zakładałam wtedy ciemną perukę z długimi włosami. Kupiłam ją w Warszawie, w komisie. Po przeprowadzce zapuszczałam włosy. Gdy odrastały, miały już taki kolor jak peruka. To naturalna barwa moich włosów. Potem perukę spaliłam w piecu i nie został żaden ślad tej mojej przemiany.*

– Podaj mi, proszę, mój portfel, dobrze? – zwrócił się chory do żony.

Posłusznie podała mu skórzany wysłużony portfel. Z najgłębszej przegródki wyjął pogięte, zniszczone zdjęcie. Przedstawiało młodą piękną blondynkę, z nadmuchaną fryzurą modną w latach sześćdziesiątych.

– Poznajesz? – Podsunął jej zdjęcie do obejrzenia.

Uśmiechnęła się.

– Co mam nie poznać? – zażartowała. – Przecież to ja, Emilia Wawrzyniak.

– Wiesz, ile ja się tej kobiety naszukałem? – wyznał podekscytowany. – Całymi latami śniła mi się żona tego partyjniaka. Śniła mi się częściej niż moja własna żona – roześmiał się.

– Jak to się naszukałeś? Mnie szukałeś? Gdzie? Dlaczego?

– No to teraz ja ci coś opowiem. Nie uwierzysz! – Poprawił się na łóżku i głęboko odetchnął. – W 1961 roku jako młody milicjant dostałem przydział do Torunia. Kochałem swoją pracę. Pełniłem służbę wzorowo i miałem nadzieję na rychły awans. Pewnego dnia dostaliśmy zgłoszenie o zaginionej żonie sekretarza partii...

I opowiedział żonie o śledztwie, o szeroko zakrojonych poszukiwaniach małżonki lokalnej partyjnej szczy.

– Byłem przekonany, że zrobił jej coś złego – kontynuował swoją opowieść. – Wierzyłem, że ją zabił. Nie miałem tylko dowodów. Ze wszystkich stron naciskali na nas, żebyśmy rozwiązali tę sprawę jak najszybciej. Telefony z Komendy Głównej, presja ze strony partii, medialna nagonka, brak ludzi i mało czasu. Nie udało się niczego wyjaśnić. Jak kamień w wodę.

Westchnął, przypominając sobie tamte czasy tak dokładnie, jakby oglądał białą-czarną Polską Kronikę Filmową.

– Miałem fajnego szefa – ciągnął. – Byłem nowy, a on mi zawierzył jak swojemu. Któregoś razu, gdy wyjechał służbowo, zostawiając mnie samego ze sprawą, poniosły mnie nerwy i aresztowałem gnoja. To znaczy tego partyjniaka, męża zaginionej Emilii Wawrzyniak.

– Mojego męża – wtrąciła Emilia, która 10 lutego 1962 roku stała się Ewą.

– Przeze mnie wysłali mojego szefa, to znaczy porucznika Jana Szymczaka – wyprężył się służbiście – na wcześniejszą emeryturę. A mnie przenieśli karnie na zadupie, pod Lublin. – Uśmiechnął się smutno.

Skończył. A ona siedziała, spoglądając przez okno na promienie słoneczne, które niestrudzenie przedzierały się przez chmury. Nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Takie zbiegi okoliczności nie zdarzają się w prawdziwym życiu. Czasami tylko w filmach. Nam obojgu jednak to się przytrafiło naprawdę!

– To ja po całej Polsce jeździłem, żeby ją odnaleźć, a ona była tak blisko. Żyłem z nią pod jednym dachem i spałem z nią w jednym łóżku, nic o tym nie wiedząc. A to ci dopiero niespodzianka! – Nie mógł się nadziwić. – Założyłem teczkę z fotokopiami ze sprawy. Prywatnie, dla siebie. Nie wiadomo, dlaczego stała się moją obsesją. Sprawą osobistą. A przecież nawet nie znałem tej kobiety...

Pogładziła go po włosach. A potem pocałowała w policzek.

– Ale poznałeś. Pewnego dnia w mojej fabryce dokonano kradzieży jakichś materiałów. Milicja prowadziła śledztwo i wszystkich przesłuchiwała. Był rok 1972. Minęło już dziesięć lat od mojego zaginięcia i z mocy prawa zostałam uznana za zmarłą. Nadal jednak nikomu nie zdradzałam mojej prawdziwej tożsamości. Nikt nie wiedział o moich losach w poprzednim życiu, w Toruniu. Podczas tych przesłuchań wpadłam w oko pewnemu sympatycznemu milicjantowi. On też mi się podobał. Zakochaliśmy się w sobie. Mimo obaw zdecydowałam się go poślubić. I nigdy tego nie żałowałam.

– Ani ja – powiedział z uśmiechem mężczyzna.

– Była tylko jedna rysa w charakterze i zachowaniu mojego męża... – Mrugnęła okiem po łobuzersku. – Miał takie nieszkodliwe hobby. Każdą wolną chwilę poświęcał na rozwiązanie pewnej TAJEMNICZEJ SPRAWY. Nie chciał mi powiedzieć, co to za sprawa. Wiedziałam tylko, że jest stara i że stała się poniekąd jego obsesją. Jak tylko miał parę dni wolnego, zamykał się w pokoju z jakimiś papierami i grzebał w nich bez końca. Podglądałam przez dziurkę od klucza, to wiem. A potem chował je z powrotem do walizki, zamykał na mały kluczyk i chował pod łóżko.

– A co miałem ci powiedzieć? Że zakochałem się w zdjęciu? – Zakasłał, krztusząc się śliną.

– Chciałam ci tyle razy powiedzieć o swojej poprzedniej tożsamości i o dawnym życiu. Ale jakoś nie mogłam. Nie wiedziałam, od czego zacząć. No i nie wiedziałam jak zareagujesz...

– Ja też chciałem ci opowiedzieć historię zaginionej żony sekretarza partii. Ale nie wiedziałem jak. I trochę się wstydziłem tej „miłości” do kobiety, której nawet nie widziałem na oczy, a której los nie był mi obojętny.

– Żadne z nas nic nie mówiło drugiemu. Żyliśmy spokojnie w cieniu tajemnic, splecionych nad nami jak gałęzie wiekowego drzewa – stwierdziła górnolotnie.

– Teraz to mówisz jak te aktorki z brazylijskich seriali – zaśmiał się.

– Przecież ja jestem aktorką – powiedziała, przekrzywiając głowę i uśmiechając się filuternie. – Tak długo grałam inną kobietę, aż się nią stałam. I nawet milicja była bezsilna. – Znowu puściła do niego oczko.

Została w szpitalu tak długo, aż nie zasnął. A potem wymknęła się chyłkiem, po cichutku, żeby go nie obudzić. Było jej lekko i radośnie.

\*\*\*

Przespała noc. Bez koszmarów. Miała głowę pełną dobrych myśli. Zabrała ze sobą sok pomidorowy i wodę. Niegazowaną. I jego ulubiony kubek, niebieski jak mundur. Nie lubił pić w szklance.

– Pani Ziętarska, mam dla pani przykrą wiadomość. Mąż zmarł przed czwartą, dziś rano – poinformowała ją tuż przy wejściu wysoka chuda pielęgniarka. – Bardzo mi przykro – dodała po chwili i odeszła do swoich pacjentów. Tych żywych.

Kobieta opadła na krzesło w korytarzu. Zrozpaczona zwiesiła głowę.  
I dopiero teraz poczuła się naprawdę zagubiona.